

GDZIE TO



GDZIE

ZAGRAŁY TRĄBKI MYŚLIWSKIE?..

ORGAN TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO WOJEWÓDZTWA WILEŃSKIEGO

POD REDAKCJĄ MICHAŁA K. PAWLIKOWSKIEGO

KOMITET REDAKCYJNY: BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI, OLGIERD ŚWIDA WŁODZIMIERZ KORSAK, MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI, JAN BOROWSKI

STAN ŁOWIECTWA NA WILEŃSZCZYŹNIE

Do najbardziej lesistych ziem polskich należy woj. Wileńskie. Lasy Wileńszczyzny ustępują co do obszaru jedynie kniejom poleskim, które — jak wiadomo — zajmują pierwsze miejsce w Polsce. To też i zwierzostan strony naszej posiadają nieco odmienny od innych dzielnic Polski, zwłaszcza za chodnich. Te prawdziwie puszczańskie ptaki i zwierzęta, które po dziś dzień zamieszkują nasze łowiska tutejsze, otaczają nimbem przeszłości dzikie jeszcze dotychczas uroczyska i puszcze. Wprawdzie zginęły już bezpowrotnie mickiewiczowskie „mateczniki“, wraz ze swymi „imperatorami“, wprawdzie lasy dzisiejsze nie przypominają nawet wyglądem dawnych ostępów „kniej“, lecz pomimo to przechowały dawną zwierzynę, której już prawie nie posiada zupełnie ani reszta kraju, ani nawet cała zachodnia i południowa Europa.

I dziś, gdy łowiectwo przestało być jedynie zabawą, możliwą, a stało się jednym z bogactw przyrodzonych państwa, dziś, gdy wyczerpana ciężką pracą zarobkową ludzkość zwraca się coraz bardziej ku łowiectwu jako zajęciu, dającemu równowagę zbyt przeciążonemu mózgowi wobec zupełnego zaniedbania reszty ciała, w takich czasach oczy całej niemal Europy zwróciły się na Polskę, jako na kraj, w którym można jeszcze spotkać się z legendarnym już chociażby w Belgii czy Włoszech — wilkiem, czy też szlachecką pardwą lub białym zajęciem, o istnieniu których na świecie nie wiedziałby z pewnością Hiszpan czy Portugalczyk, gdyby jego ambasador, zbierający takie trofea na mszarach Wileńszczyzny. Polowania takie dla lubujących się w egzotykoznosci sportsmenów zachodnich, mogą stać się czymś równie imponującym jak łowy afrykańskie czy indyjskie, nam zaś dopomogą wysmienienie w rozwoju turystyki, która przynosi państwu tyle materialnych zysków! Już dziś Belgijczycy, Anglicy i Szwedzi interesują się polskimi terenami łowieckimi, a polując u nas — wiążą na zawsze wspomnienia myśliwskie z przeżyciami swymi w Polsce i zaczynają kochać kraj, co dał im takie przeżycia.

A sercem tych najdzikszych rewirow łowieckich jest właśnie nasze województwo. Tu bowiem, po lasach północnych powiatów, snują się rzadkie już gdzieś indziej lamparty północy — centkowane rysie, tu mnogi wilk szary w zimie zabobonny lęk, ukazując

się nocą sporemi stadami, tu kluczy po zasnieżonych gęstwinach piękny, o rubinowych oczach, zając — bielak, czy

I drobniejszej zwierzyny nie braknie na Wileńszczyźnie. Olbrzymie stada kaczek unoszą się nad błotami pow. Mo-

szandarem św. Huberta. I dlatego zwierzostan naszych lasów, pól i błot należy się opieka. Ostre zimy są wprost katastrofalne, głębokie śniegi i szalone mrozy w wielu miejscowościach wyniszczyły niemal doszczętnie kuropatwy, których i tak niezbyt wiele Wileńszczyzna posiada. Ilość zajęcy szaraków też się gwałtownie zaczęła zmniejszać dzięki różnym powodom, a klusownictwu przede wszystkim, wiewiórki także już są niezbyt pospolite — zatem sytuacja zaczęła się pogarszać.

Klimat naszego zakątka niezbyt sprzyja rozwojowi zwierzostanów. Pierwsze i ostatnie mroty zajęce zazwyczaj giną, liczbę kuropatw redukują chłody, ale najuciążliwszą plagą, dzięki której nasza polna zwierzyna nie osiąga takich kolosalnych cyfr jak np. w Wielkopolsce, jest okropnie rozwielmożnione klusownictwo, a wnykarstwo w szczególności. Gdy nadejdzie zima i biała karta śniegu ukaże ludziom ostoję zwierzyny — ruszają wieśniacy w pole, by tam łatwym strzałem zdiebić zziębnięte kuropatwy lub uśmiercić nazbyt ufającą swym nogom samicę zajęczą, dopuszczającą człowieka na zbyt bliską odległość. A grupy pastuszków, z ukrytymi pod połą zwojami drutu, zastawiają słynne „telefoniczne pętle“, w których tragicznie kończą żywot nie tylko szaraki, ale i różne Bysie i inne Żuczki okoliczne. A w przeciwieństwie do klusownictwa, które zastraszone różnymi paragrafami ustawy łowieckiej, zaczyna się nieco zmniejszać — rosną i potężnieją szeregi prawidłowych myśliwych, obrońców naszej sprawy łowieckiej. Wilno i Wileńszczyznę osnuwają gęsta sieć Towarzystwa łowieckiego, szerzące idee prawidłowego i racjonalnego łowiectwa.

Objaw ten jest b. pomyślny: dowodzi bowiem, iż społeczeństwo polujące lub chociażby sympatyzujące wyznawcom św. Huberta, zrozumiało znaczenie myślistwa w dzisiejszych czasach, że nie jest ono lekkomyślną i okrutną zabawą, a tylko sporą, rubryką dochodową w budżecie państwa. Sumy wpływające do skarbu za wydzierżawienie terenów, opłata za pozwolenia na broń myśliwską i karty łowieckie wynoszą całe miliony. A zatrudnianie ludności przy nagankach i obławach, z których okoliczni włościanie mają stałe źródło dochodu, a dostarczanie krajowi futer i mięsa — wszystko to stanowi potężne bogactwo ekonomiczne kraju.



WILKI

też z przerażającym wrzaskiem i łopotem skrzydeł porywa się stado białoskrzydłych pardw. W ponurym głębiach białoruskiej puszczy tokuje wiosną trubadur tych zakątków — głuszc, coraz pomyślniej rozmnażający się w tamtejszych lasach, tak, iż w Puszczy Rudnickiej gra już więcej niż sto kogutów, co stanowi wielki sukces hodowlany w naszych stosunkach myśliwskich. Wspomniana puszcza zawiera także kilkanaście łosi — tych najrzadszych potentatów naszych błot, poza tym sporo saren i dzików.

Łódzkiego i innych, ciętrzewie zamieszkują licznie zarośla i mszary, a w gęstwinach świerkowych grzmia skrzydłami jak oddalona burza — szare jarząbki. Wiele też innych stworzeń łownych u nas się spotyka dość obficie. Pamiętać jednak musimy, że tę zwierzynę, która dotychczas jeszcze ożywia nasze tereny łowieckie, należy przechować dla przyszłych pokoleń. To depozyt narodowy, z którego możemy korzystać, ale będziemy musieli zwrócić go wreszcie innym z pośród nas za nami idących pod wspólnym

ZE WZGLĘDÓW OD REDAKCJI NIEZALEŻNYCH NUMER KWIECIEŃSKI
„TRĄBEK MYŚLIWSKICH“ WYCHODZI ŁĄCZNIE Z MAJOWYM



W drodze na tokowisko (Puszcza Hołzbińska)

U zachodnich naszych sąsiadów, gdzie łowiectwo od dawna zostało na leżycie zrozumiane, szlachetne to zajęcie przysparza państwu wiele dochodów, to też cieszy się specjalną opieką rządów i poszczególnych myśliwych-hodowców, którzy nierzadko z hodowli bażantów lub kuropatw większe ciążą zyski, aniżeli ze swych własności ziemskich. I w Polsce, w Poznańskim i na Pomorzu eksploatacja polowania daje właścicielom wcale pokaźne sumy, przyczyniając się do naprawy stanu gospodarki rolnej. Ale i tam, choć zajęcie i kuropatwy leżą na rozkładach setkami i tam jednak zwierzostan potrzebuje opieki. Dbały hodowca musi w ziemie dokarmiać zwierzynę, tępować drapieżniki i kłusownictwo, gdyż tylko taka pieczołowitość zapewni mu w sezonie myśliwskim dużo zwierzyny.

A jak się sprawa hodowlana przedstawia u nas? Na to pytanie, niestety, nie możemy odpowiedzieć pocieszająco. Bo gdy Wielkopolska, chociaż jest tak bogata w polną zwierzynę — wytężyła swe siły w celu jeszcze większego podniesienia swych zwierzostanów, u nas w tej dziedzinie nie czyni się prawie żadnych starań i wysiłków. Wprawdzie niektóre szlachetne jednostki hodują i chronią zwierzynę na własnych terenach, ale to tylko jednostki — ogół myśliwych, o ile należy do towarzystw łowieckich, odnosi się do tego biernie i nieraz dosłownie wyniszcza resztki swej zwierzyny ustawicznym polowaniem. Znam osobiście myśliwych, którzy ciągłymi łowami tak wytępiłi mie-

szkańców pól i lasów, że dziś rewiry ich są poprostu pustynią, na której prócz skowronków i bocianów nie zobaczy się nic więcej. A ileż trzeba dołożyć starań i ponieść kosztów, by znowu się doczekać choć jakiegoś marnego zwierzostanu w takim łowisku!

Wszyscy p. p. myśliwi wiedzą, jak trudno jest dziś spotkać na Wileńszczyźnie posiadłość ziemską, obfitującą w zajęcie czy kuropatwy. Jak już wspominałem, przyczyną na to składa się wiele, to też jedynie troskliwa opieka dbałego myśliwego — hodowcy może się przyczynić do naprawienia tych braków w dziedzinie hodowli zwierzyny. Ale miejmy nadzieję, że uświadomione społeczeństwo ziemiańskie jak też i istniejące T-wa myśliwskie z każdym rokiem nowe na tem polu poczynią postępy i z czasem nasze Kresy nie będą potrzebowały wstydić się swej gospodarki łowieckiej, która dzisiaj, aczkolwiek kroczy naprzód — to jednak bardzo wolno.

Wilno, będące głównym środowiskiem ruchu łowieckiego, daje przykład okolicy swą pracą. Tu pracuje kilka towarzystw myśliwskich, posiadających w swym składzie ludzi takich, jak prezes Bolesław Świętorzecki, Włodzimierz Korsak, Michał Pawlikowski, których imiona złotymi zgłoskami zapisały się w dziejach naszego łowiectwa. I możemy być pewni, że pod ich przewodnictwem łowiectwo Wileńszczyzny osiągnie wkrótce ten poziom na jakim znajdować się powinno!

Leopold Pac Pomarnacki.

MOKRY GŁUSZEC

Jako prawy myśliwy (przynajmniej na papierze dodatku Łowieckiego) nie lubię tokowisk gluszcowych zbyt łatwych t. j. suchych i wygodnych, gdzie „podchód” — owa najtrudniejsza i najwięcej umiejętności wymagająca część polowania na gluszcę — redukuje się do wygodnego spaceru po miękkim wrzosie w takt szlifowania. Jestem zdania, że gluszcę, zwany mniej lub więcej słusznie ptakiem królewskim, powinien być — wypracowany. Tokowisko łatwe, lub (według wyrażenia właściciela najpiękniejszych toków gluszcowych w Polsce hr. J. T.) tokowisko „szkolne” powinno być pozostawione spierniczałym artretykom oraz paniom polującym.

* * *

Knieje lubańskie, które mi dały w sezonie biejącym pierwszego po 20-letach wilka, obdarzyły mnie również całą symfonią wzruszeń tokowo-wiosennych.

Zaczęło się od deszczu.

Na podłuchach mrzył kapuśniaczek, ale wiatru nie było. Tedy pomyślałem, że aura zbyt wielkiego wpływu na pieśń gluszcza nie wywiera, nie traciłem nadziei. Wracałem do ogniska zasadziwszy osiem gluszców. Wolno brnąłem za gajowym po uginającej się pod nogami mszarynie. Czemu bliżej do suchej grzędy oznajniającej się zdaleka sylwetami wysokich sosen, tem grunt stawał się cięższy. Gdy już tylko kilkadziesiąt kroków dzieliło nas od grzędy — potknąłem się o jakiś pień i rozciągnąłem się jak długi w błocie. Było to preludjum mokrego polowania...

* * *

Upieczymy gospodarz kniei lubańskiej p. J. Dz. dał nam na drogę dużą plandekę, z



Kszyk

której zręczni gajowi zaimprovizowali wcale wygodny namiot. Susząc przed ogniem kożuszek i inne zamoczone części garderoby, gawędziłem z towarzyszem łowów i przyglądałem się z niemałym zainteresowaniem przygotowaniom do przegrąski.

Deszcz ustał. Niebo w paru miejscach przetarło się i zabłysły gwiazdy. Wszystko więc zapowiadało ładny i cichy świt.

Po godzinie wysuszeni i najedzeni zawinęliśmy się w kożuchy i zaczęliśmy drzeć. Gajowi jeszcze rozmawiali. W północy złowiłem ulamek rozmowy:

— Kale samoj budki ciaciaruki jak żuki polzając...

Około północy zbudziło mnie przejmujące zimno. Po brezencie namiotu siekła ulewa. Wściekły wiatr zginał maszty sosen jak wątłe trzciny, wstrząsał wiązaniami namiotu.

Trwało to do godziny 5 rano... O wyjściu na tokowisko nie było, rzecz prosta, nawet mowy...

Gdy słońce się ukazało zaczęliśmy suszyć przemokłe kożuchy, wycierać strzelby zalane deszczem z niezabezpieczonych boków „namiotu”.

Towarzysz mój zauważył nie bez słuszności, żeśmy mogli z równym powodzeniem lub raczej — znacznie lepiej — spędzić czas w ciepłym łóżku, zamiast w zalewanym deszczem i przedmuchiwym wiatrem namiocie. Ale czegoż się nie robi dla gluszcza?..

* * *

Noc następna miała nas wynagrodzić za poprzednie „mokre” polowanie.

Zachód był ciepły, morelowy, bezwietrzny...

Naliczyłem około 10 cich zapadów, gdy oto — du-du-du — i stary gluszcę z groźnym krektaniem siadł o 50 kroków odemnie — na ziemi. To samo zrobił drugi, krektający z tyłu za mną... I oto stałem się świadkiem niezwykle, nigdy dotąd niewidzianego widowiska: dwa gluszcze zbliżyły się ku sobie po ziemi — „piechota” — krektając wyzywająco. Przed moim zachwyconym wzrokiem migały kolejno — nastawione pionowo wachlarze i napuszone szyje czarnych ptaków. Niestety, samego starcia nie widziałem, gdyż nastąpiło ono za gęstym krzakami łoża. Jeno potężny łoskot skrzydeł świadczył, że walka idzie na dobre... A po upływie minuty jeden z gluszców pośpiesznie opuścił tokowisko, drugi zaś długo jeszcze puszył się na placu boju zapewne rad ze zwycięstwa...

Przeszło jeszcze kilka minut i oto z niewidzialnej sosny o jakieś sto kroków odemnie zaczęły płynąć w ciszy wieczornej trele kastanietowe... Jakby ręka bożka leśnego tukała w zaczarowanym moździerzu orzechy mistyczne...

— Teke-teke teke... — coraz śpieszej, aż trzel przeszedł w namiętny syk szlifowania. Wstałem z miejsca...

Ciemno już było, gdy wreszcie dopadłem gluszcza. Szczęściem siedział na wierzchołku karłowatej sosny — wyraźnie czerniejąc na czerwonym tle zorzy. Siedział z wyciągniętą szyją — w jakiejś pozie niezgrab-

„Czu — fy...”

Sobota. Toki myśliwych w całej pełni. Tokują pojedynczo i chmarami. Słyszę na zwy różnych terenach, wszędzie, ma się rozumieć, toki i przeloty pierwszorzędnego. Nazwy te nie przemawiają do serca mego, bo w okolicach Wilna nie polowałem jeszcze. Nie wiem dokąd wybrać się, lecz staram się wyczuć, gdzie będzie tokować najmniej myśliwych i najwięcej cietrzewi. Chwała leśnictwu Wojstomskiemu, lecz wszyscy boją się długiej i trudnej drogi. Tego mi potrzeba i przedko odnajduję towarzysza podróży sympatycznego i niezmordowanego myśliwego inżyniera K.

Jedziemy. Z domu odprowadza mnie sąsiad, przeżywający miodowe miesiące miłości. Myślę, że pożegna mnie krzykiem stęsknionej krakuchy, lecz słyszę — „ani pióra, ani puchu”.

Miły i kochany sąsiedzie, co ci zawiniłem, że tak źle mi życzysz? Na dworcu przed kasą kolejną prawie wyłącznie myśliwych. Znajoma pani zdaleka mówi mi: „wiem, wiem, myśliwemu nic się nie życzy”. Ale naco o tem mówić. Złe, stanowczo złe i nie można na to nie zaradzić, bo i kolanko najpiękniejszej kobiety w nasze czasy nie pomoże — kolanka już opatrzyły się. Trzeba chyba szukać innych talizmanów, lecz dotychczas nowe środki jeszcze nie zostały wypróbowane. W tunelu myślę się i wchodzę na schody, prowadzące nie na ten peron, z którego odchodzi mój pociąg. Zawracam, lecz wiadomo co to jest zawracanie z drogi — znowu zły omen.

Nareszcie w pociągu. Podróżni na polowę myśliwi. Widzę profesora, znanego pogromcę wilków, doktora P. z synkiem i pie-

skiem, doktora U., uzbrojonego w sztucer z lunetą i dubeltówką, wiele prezesów, dyrektorów, naczelników, inspektorów i innych mniej godnych osobistości, lecz wśród myśliwych panuje błogi nastrój braterstwa i równości stanów. Rozmowa tylko o tokach, budkach, przelotach — słucham i zaczyna wydawać mi się, że w końcu wagonu stary pan cichutko szepce „czu-fy...”

Doktor U. speszony, jedzie do Kieny na zaproszenie miejscowej „władzy”, lecz w drodze od kontrtera pociągu dowiaduje się, że teren ten dzierżawi jakaś prywatna osoba i strzeże go ogromny gajowy o mocnym uścisku. „Władza” spotyka doktora przy pociągu, lecz zapytana o rzeczywisty stan rzeczy — robi minę niewyrażną, więc doktor jedzie dalej. W Kienie pozostaje cały baon myśliwych. Biedne, biedne „cietczurki” z Kieny i za co?

Gudogaj, Soly i Osmiana nie cieszą się widocznie powodzeniem — myśliwych.

A oto i Smorgonie, najsławniejszy gród w Wileńszczyźnie, bo któż nie zna słynnej na cały świat akademii smorgońskiej, a obwaranków? Może właśnie Smorgonie są kolebką tańców jazz-bandowych, tak podobnych do ruchów niedźwiedzi? Na peronie najpopularniejszy w Smorgoniach emeryt K., najlepszy myśliwy wśród proferansistów i najlepszy proferansista wśród myśliwych. Stęskniony do ludzi z szerokiego świata, zły na cietczurków, że nie tokują cały rok, aby wabić do Smorgoń myśliwych, do których można ludzkiem głosem zagadać. Doktor U. łapie się na syrenie śpiewy pocziwego emeryta o tysiącach cietczurków, bajecznych tokach, doskonałych budkach (budek nie było) przelotach całych chmar słomek, — i pozostaje. Nas okružają kilkanaście furmanów i wszyscy mają nie konie a orły. Nie wierzymy i oglądamy — wszystkie szkapę i, co gorzej, niektóre siwe, a wiadomo, co to znaczy na

polowanie jechać siwym koniem — pewnie niepowodzenie. Wybieramy gniadą klaczkę, małą, lecz buńczuczną i z miny wesołą. Dowiaduję się, że ma lat 15, lecz klimat smorgoński widocznie jej służy.

Biedne Smorgonie, całe spalone podczas wojny, z ładnego ongiś kościoła pozostały tylko ruiny, pod samą ścianą okopy, dużo szkieletów spalonych domów murowanych. Z przed wojny pozostały tylko bruki z kocich łbów — a szkoda, że kamień nie pali się, bo właśnie bruki należało spalić — wewnątrz przetrwały się, jadąc po nich. Odbudowane domki niestety mają typ wschodni.

Wyjeżdżamy z miasta, wszędzie okopy i meczale malowniczo Wilja i nadry most przez nią. To ostatni pomnik kultury, gdyż dalej drogi są w takim stanie, że w środkowej Afryce chyba lepsze. Przeczysz, o kulturze świadczy jeszcze telefon do leśnicówki. Słupy i druty niesamowicie wyglądają na tle dzikiego lasu i bezdroża. Zajedźmy do leśnicówki. Przed bramą strasznie ujadaniem spotyka nas wyżeł, lecz z morderczy widać, że ujada tylko dla rozrywki i że w gruncie rzeczy jest dobre i łaskawe psisko. W podwórzu na ruchomym łańcuchu jakiś ogromny Hałas czy Wyplacz, wyrazem nie wzbudza zaufania. Czujemy się niewyrażnie, lecz wyręcza nas chłopak pana leśniczego. Leśnicówka — miły, schludny domek. Gospodarz bardzo uprzejmy. Na kanapie skóra ogromnego wilka, co od razu usposabia nas do rozmów myśliwskich. Oczy leśniczego nabierają błysku, opowiada nam o wilkach, gluszcach, tokach — dostajemy „delirium nemrodii”. Dowiadujemy się, że gluszcze są, lecz podchód do nich trudny, gdyż bagno, na którym tokują, głębokie i bez podszycia. Zatrzymujemy nas na herbatę, lecz po takiej rozmowie już w pokoju słyszymy „szlifowanie” i wstrzymujemy się tylko, aby

nie zacząć „podskakiwać”. Jedziemy.

Boże, Boże, coż to za drogi! Chyba specjalnie podziurawione w celu ochrony zwierzyny. — bo rzeczywiście trzeba wielkiego poświęcenia, aby odbyć po nich 25 kilometrów podróży. Wóz przechyla się co krok w różne strony i trzeba trzymać się dobrze, aby nie wpaść. Koń razem z wozem grzęźnie w jamach metrowej głębokości, zaciągniętych rzadkiem błotem. Tylko księżyc ratuje nas. Woznica nie zna drogi do Nowosadów — celu naszej podróży, a inżynier, chociaż był tam, lecz również nie pamięta, gdzie trzeba zwrócić z traktu na boczną drogę. Na chybił trafił zwracamy, pozostało 3 — 4 kilometrów, lecz tu zaczyna się błądzenie. Późno, wszyscy już śpią, strakamy do okien i prosimy o wskazanie drogi. Widocznie obywateli tego zapomnianego przez Boga zakątka nudzą się, gdyż nikt nam nie wymyśla i każdy chętnie tłumaczy, jak trzeba jechać. Mówią nawet za dużo, co w końcu wprowadza nas w błąd. Jedziemy, zawracamy koło krzyży, cmentarzy, młynów, wracamy z powrotem, znowu pytamy i nareszcie docieramy do tej ziemi obiecanej.

Sześć godzin takiej jazdy.

Pijemy herbatę i o pierwszej wyruszamy do budki. Przechodzimy jakieś kładki, strumyki, rzeczki, lecz oto jesteśmy koło godziny drugiej w budkach.

Wybieram budkę przy strumyku, inżynier zajmuje budkę na drugim brzegu o kilka set kroków dalej. Noc cudowna, księżyc w pełni, cicho, ciepło, w budce wygodnie siedzieć na pienkach. Teren suchy, porośnięty wrzosem — gdzieś niedaleko małe, kilkuroczne sosenki. Wszystko wydaje się zagadkowym, najmiększy szmer — niesamowitym, wszędzie mającym cietczurki, lecz „czu-fy” nie słychać. Czas się dłuży, patrzę na zegarek — kwadrans po trzeciej, lecz co to?

Budżet państwowy a łowiectwo

W t. zw. „Ustawie skarbowej“ na okres 1930—1931 (dz. ustaw Nr. 24 poz. 221) figuruje w rubryce **dochodów** zwyczajnych Ministerjum Rolnictwa kwota 517 tysięcy złotych z opłat za karty łowieckie. Niestety, w rubryce **wydatków** tegoż Ministerjum nie znaleźliśmy żadnej pozycji na cele łowiectwa. Z rubryki wydatków dowiedzieliśmy się, że Ministerjum Rolnictwa za mierz wydawać w roku budżetowym na ochronę ryb, na podniesienie rybactwa i na dużo innych rzeczy. Tylko o łowiectwie głuch, jakkolwiek jak wiadomo, dochód z kart łowieckich przysparza Ministerjum wcale pokaźną sumkę.

Czyżby istotnie łowiectwo nie zaślugało na opiekę pieniężną ze strony Państwa. I czyżby nie potrzebowało ono tej opieki narówni z rybactwem? Po co w takim razie istnieje jakiś specjalny referat łowiecki w tem Ministerjum?

L. M.

ZAPŁAĆ SKŁADKĘ CZŁONKOWSKĄ DO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO WOJEWÓDZTWA WILEŃSKIEGO CZEKIEM P.K.O. Nr. KONTA 81352 ZŁ. 17. WPISOWE (DLA NOWOSTĘPUJĄCYCH) ZŁ. 5.

nej, „nienaturalnej“ — takiej, że gdyby p. Łozński w podobny sposób mi go wypchał, powiedziałbym, że nigdy chyba nie widział tokującego giuszka.

Ważni jedenaście i ćwierć funtów.

* * *

Jadę bryczką na stację.

Na lewo, nad zorzą wieczorną ławie się gwiazda. Ciepło. Po niedawnym deszczu pachnie ziemią i bażkami wierzbowemi. W gęstwinie śpiewa drożdź. Z dalekich mszarów płynie bulgot cietrzewia.

W taki wieczór ogarnia mnie półsmętek nieokreślony, dobrze znany z lat pierwszej młodości. W taki wieczór bywam sentymentalny.

— C'est son âme que l'on sème à chaque adieu — deklamuję półgłosem.

Wracam do Wilna z giuszczem.

Zycie bywa miłe.

Michał K. Pawlikowski.



— nad budką przeleciał ptak, siadł niedaleko i zaraz słyszę tak oczekiwane „czu — tyty“! Naprawdę, na lewo z przodu z tyłu wszę — „czu — tyty“!

Serce bije jak młot, tamuję oddech, przyglądam się, lecz nic nie widzę — ciemno jeszcze. Raptem jak na komendę — ze wszystkich stron zaczyna się bulbotanie, tak przypominające modły żydów w synagodze. Wiele ich — może sto, może tysiąc, na ogromnej przestrzeni nie ma zdaje się miejsca, skąd nie słychać byłoby tej pieśni miłosnej. Dziwny jakiś dźwięk, czy bliżej, czy dalej wydaje się jednakowy i nie można rozpoznać na jakiej odległości znajduje się trubadur.

Siedzę cichutko, nie ruszam się i czekam, aby trochę rozwidniało. Głosy cieteruków, znajdujących się w pobliżu mojej budki, stopniowo zbliżają się do siebie i zatrzymują się w jednym miejscu. Wyraźnie słyszę jak podskakują. Jest ich cztery. Oto świta, zaczynam wyteżać wzrok w kierunku słyszanych pieśni, lecz nic nie widzę. Za chwilę z przerażeniem spostrzegam, że budka ustatwiona w niedogodnym miejscu — przed budką na kroków dziesięć rośnie kilka większych krzaków i za nimi właśnie cietrzewie tokują. Zaczynam denerwować się. Wyglądam z prawej strony, z lewej, wstaję — wyglądam zgóry, wleżę na pieńki, daremnie — nic nie widać. Śladam zrezygnowany i zmuszam siebie do cierpliwości — może zacząć przelatywać. Rozglądam się wokół, widzę kilkanaście cieteruków, lecz daleko — poza strzałem. Koto budki inżyniera na jasnym, zielonawym mchu dumnie kroczy trubadur. Dziwię się dławczemu inżynierowi nie strzelać, może nie widzi. Wtem widzę dym, słyszę huk strzału i biedny cieteruk zatacza półkole, bije rozpaczliwie skrzydłami i leży. Dookoła nas wszystko milknie, tylko zdaleka słychać w dalszym ciągu bulbotanie. Za kilkanaście mi-

Właśnie pospołu z jesienią*) zmieniać poczęły się sprawy w chmarach zwierzyny płowej. Rósł, mnożył się niepokój, coraz szersze ogarniał przestrzenie, coraz rozległej płynął i głębiej, zmyślał przenikał. Aż się nasycił bór oczekiwaniem, którego treść wszystkich zwierz wiedział — bo wszakże już się przez dni leśne snuje, mgłę, wiatr, powietrze wypełnia, mówi o godach, w których się puszcza potęga i gór grzmoty, burz i wicherów głos mocnym wotorem zbudzi w jelenim poryku!

Bywało że dniami całymi na Mateczniku i wokół łąk nie widziano rogatych olbrzymów. A potem znów przez szereg nocy liczny ich trop ku bagnom i przez sitowia prowadził. Wodziły się po wszystkich obszarach, zmieniając ostoje i żerowiska, ostrożne, pobudliwe, wrażliwsze niż kiedykolwiek.

Porozchodziły się razem dotąd wędrujące rogacze. Unikały spotkań, nieufne, wzajem niechętnie, jakby inne. Od zabaw do starć dochodziło ostrych. Pierwsze odczucia zazdrości przerażały się skrycie w nienawiść, ledwo świadomą.

Niespodzianie i szybko, z wrześniowego miesiąca końcem, w zimnego wiatru rozplywie hasła się rozeszły, nietajne jelenim zmysłem, już teraz pewne, z dniem każdym wyraźniejsze. Dorozumiał się w nich jelen z matecznikowej ostoji znaku, potężną falą napływającego. Coroczną siłą budził się o tej porze.

Coroczną siłą prowadził śladem jedyń, śladem jelenie smukłych, przez lasy, skroś gestwin głębokich, nieustępliwie, wytrwale, radością obietnic, wielką nadzieją przyrzeczeń... Tajonem zewem łań wieścił się chrapom rozdętym niecierpliwie.

Jedyną troską, jedyną myślą wiodącą wszystkie byki było teraz szukanie wiatru płynącego coraz natarczywiej, skrzętnie szukanie jego szlaków, snujących się na chmarnych śladach łań. Podnieta mocną jak wiosna, wiało technię tajemne, rodzące lęk, pożądanie, miłość.

*) Artykuł niniejszy jest fragmentem będącym w opracowaniu powieści p. t. „Matecznik“.

J E D Y N Y S Z L A K

Z łąkami pochylonemi ciągnęły rogacze na nic nie patrząc, żerowiska nawet mijając nieuważnie, ciągnęły drogą wyłączną ku chmarom czekającym, goniąc wspomnienie ich przejścia przez las, w zagajnikach, wzdłuż łąk, skroś wód brodząc za niem. Szerokie przestrzenie, zacichłe w jesiennej mgle, ożywiły się nagle ich biegiem, pociął je wszystkie wzdłuż i w poprzek gon, pokrzyżowały ślady rogatych sztuk...

Wabił, nęcił, przyzywał uparty wiatr. Szły za nim urzeczony, niecier-

świty przejmując ich do łąk bijącą zapowiedź.

Przekwitały wrzosi. Pełne było powietrze ciszy, zapachu wędnącej leśnej słodyczy.

Od matecznika ku lasom dokolnym chodził. Wróci już z orszakiem zdoty, bytym, godowe dni spełnia się na wyspie, gdzie się nie przedrze wróg ani rywal, chociaż wroga umiał obchodzić, a lęku przed rywalem nie znał.

Tak chciał poprostu obyczaj. Tam, na pagórach, w skłębionych topielach



Po polowaniu

fot. W. Łuczyński

pliw e, namiętne. Odzywały się już głuche beknienia, pierwsze zwiastuny godów w noc gwiazdziste i zimne.

Rogacze poczynają pędzić wybrane łanie. Niosło się dla nich szczęście. — Odbijał je od chmary on, najmilszy, bił, chrapiąc i gniewnem sapaniem goniąc nieposłuszne.

Czekały lękiem i radością przesycone, płóche a uległe.

Już nie ciągnął śladem jelonka samotnik na Mateczniku, chociaż razem były. Upatrywał sam sobie miłośnice, olbrzymiemi przestrzeniami chadzał, niezmordowany, tem najważniejszem przejęty. W żylach, w nabrzmiewającej wielkimi uczuciami piersi wiedział już porę, znał bezmiar idących godów, oddechem w rzeźkie, pogodnie przed-

barw i zieleni, przestrzeń była i miejsce jedyne, zdawna umiłowane! Tam!

Wybierał z chmar, podchodził do nich galopem, rozpraszał, rozbijał, upatrzoną wybierał, wiedzący jej wartość, jej młodość umiając, cenić i tę gnać, uprowadzał, na swoje szlaki wiódł.

Przyglądał się jeno jelonek tym zabawom, tym walkom zawsze zwycięskim, radosnym, niespokojnym. Panowały nad całym obszarem boru, przelewały się przezeń tętentem gonu, sflu mionych beknień pomrukiem, w nocy, na wrzosowiskach przez ciemność w parowy schodząc gdzie wędną jagodniki bujne w zagajeniach... Za mgłami odzywały się kłopotem bijących wieńcy.

Już sobie zdobył, już wiódł posłu-

za pięć minut... Poprawiam dubeltówkę, przyjmuję wygodniejszą pozę i zamieram... w dwóch krakach odemnie, a tuż obok budki siedzi już cieteruczek i „czu — tyty“...

Siadł podły z prawej strony, trochę z tyłu odemnie. Nie ruszam się, nie oddycham i tylko oczy skoszone wpłynęły się w niego. Siedzi tyłem do budki, wyraźnie rozróżniam białą plamę, bije skrzydłami i czufyka sobie. Rozróżniam, że przed zwrotką „czu“ wydaje jeszcze krótki dźwięk, podobny niby do czkawki. O kilkanaście kroków dźwięku tego nie słychać. Zaczyna bulbotać, siedzi tuż, a wydaje się, że bulbocze gdzieś dalej. Zastygłem jak posąg na miejscu, nie odwracam nawet głowy i boję się, że dostanę zezusa. Strzelać nie mogę, bo najmniejszy ruch spłoszy go, a powtóre, na tak bliski dystans zostanie z niego miazga. Czekam może, prędko zacznie biegać, lecz podły siedzi, i ani z miejsca. Już widno, zaczynam hypnotyzować go, nakazuje odejść trochę dalej, ale niestety — widocznie we wzroku nie mam siły magnetycznej. Stary tokowik, lura mocno wygięta, głowa prawie cała czerwona, czufyknie, zabulbocze, poglądzi piórka dziobem i dalej siedzi. Panie cieterzewie, cieteruku, czy pan nie czuje co się ze mną dzieje, za co pan nade mną znęca się? Nic. Raptem... odwraca się głową do budki, czufyka na mnie i zamiera... Sztyja wydłuża się, minę ma niewyraźną, jednym okiem zagląda przez szparę do budki. Chcę skurczyć się, zamienić bodaj w motylka, robię przyjemną i obojętną minę, czuję się jak sztubak pod wzrokiem profesora, gdy nie umie lekcji, lecz wszystko daremnie — cieterzew błyskawicznie zrywa się i leci. Uf! Kilka pozostałych mi na głowie włosów wstaje dęba, zaczynam trząść się jak w febrze, przypominam sobie znajomą na dworcu, „ani pióra“ kochanego sąsiada, kota ci mi prze-

biegi drogę, swoją omyłkę w tunelu, a w końcu decyduję, że wogóle jestem nieszczęśliwy od dzieciństwa. Tokujących cieterw blisko niema, uspokoić się nie mogę, więc na ginam się do ziemi i zapalam papierosa. To mnie uspakaja, a przytem słońce świeci, pogodą cudowną, zaczynam rzglądać się i jak dnia wtórszego znowu widzę kilkanaście cieterw, tokujących grupkami i pojedynczo. Podskakują, przelatują, biją się, lecz wszystkie daleko, poza strzałem. Nie podziwianie, kroków o sto ode mnie zrywa się cieterzw, przedtem niewidziany, i przelatuje bliżej do mnie. Czufyka i słyszę, że o kilka kroków od niego odpowiada mu kolega. Znowu serce zaczyna bić przedzi, przyciotuję dubeltówkę i czekam. Cieterzw w czufyka i w pysznej lansadzie zbliża się do mnie, już mam go na strzał, chociaż dość daleko. Strześć, czy nie strzelać? Zapytuję siebie po hamletowsku i decyduję, że strzelać, bo chociaż siedzi za kępą, porośniętą wrzosem i widać tylko szyję, lecz trudno zgadnąć co sobie myśli — czy jeszcze zbliży się do mnie, czy też skryje się w sosenkach. Bach... i cieterzw smętnie leci, a ja... jeszcze smętniej siedzę w budce i spoglądam na jego piękną lura. Cieterzew przelatuje kilkadziesiąt kroków i siada na niewielkie drzewko naprzeciwko budki inżyniera. Słyszę strzał i cieterzew spada, podskakuje dwa razy i już leży na wieki. Szczęśliwy inżynier, coś widocznie przed wyjazdem widział, ale co — nie chce powiedzieć.

Oczywiście nie spudłowałem, bo jakież to myśliwy kiedy pudłuje? Zwierzyna zawsze winna, to jest zadaleko, to za blisko, to siedzi za kępą porośniętą wrzosem, a co na to najlepszy strzelec może zaradzić?

Wróciłem do domu szczęśliwy, jakbym zabił sto cieterw.

A może trzeba było jechać na siwej kobyle?

R. G.

szne łanie, orszak swój jedyny — je leń, mocz rogaty. Już go posłuchu uczył bezwzględny, zadużały w sile, której widomy znak niósł na łbie, szeroko kwitnący.

W odruchu płochy swawoli nie zawsze chcieli poddać się odrazu rozkazowi wienca pochylonego. Uciekały, ciekawe czy groźny władca pogoni, grzywę wiatrowi podając?... Radosc była, gdy chrapał gniewnie, gdy wodził wokół w gonitwie.

Niedbale, żerując przypatrywała się zabawie reszta chmary. Przywykła zdawna do brykań tej czy tamtej towarzyski. Skubały trawę obojętnie. Skarcona mocnem po grzbiecie uderzeniem wracała w pośpiechu, pokorniejsza, pognębiona, szczęśliwa. A za nią z drągwin ciągnął łbem rzucając on, rogacz jedyny, władca nieugięty...

Aleksander Janta Polczyński.

Nasze kaczki

Zwierzyna, nosząca w poro cznej mowie ogólną nazwę „dzikiej kaczki“, posiada w Polsce przedstawicieli, reprezentujących 19 gatunków, o których pobieżnie pragnę wspomnieć. Skoro nadejdą okresy wiosennych i jesiennych przelotów, na większych naszych wodach spotyka się liczne rzesze wszelkiego błotnego i wodnego ptactwa, wśród którego pierwszeństwo należy oddać kaczkom.

Piękne i rzadkie trofea zwisają wówczas u torby myśliwskiej. Ohar, rożeniec, gągól, łódówka, ogorzałka, czernica i sterniczka — oto kaczki, których w innych porach roku zobaczyć u nas nie można. A nad morzem ukazują się jeszcze i kaczka edredonowa. Rzadka to zwierzyna i trudna do upolowania, gdyż trzyma się zazwyczaj dużych, otwartych jezior, na których nie można jej podjechać na strzał. To też niewielu łowców może się nią poszczycić.

Lecz mamy i inne kaczki, legnące się w Polsce, lecz też niezbyt często spotykane. W rzedzie tych bez wahania umieścić trzeba kaczkę grzechotkę, świstuna, płaskonosza, kaczkę helmiastą, dwie odmiany podgorzałek i uhlę. Na wybrzeżu morskim biesiaduje też markaczka. Oprócz powyższych 16 tu, zamieszkują ziemie nasze jeszcze 3 gatunki, znane nawet początkującym myśliwym, a są to: krzyżówka, zwana też krakwą, cyranka i cyraneczka.

Kaczory, w wiosennym stroju godowym — to może najpiękniejsze ptaki łowne, tak rozmaite i zarazem tak gustownie nieraz upierzone. Widziałem parokrotnie kolekcje tych kaczorów. Piękna, oszklona szafa, zawierająca kilkanaście wypchanych barwnych ptaków, jest najpiękniejszą i najmiłą, bo z dużym trudem i w ciągu długich lat zdobyta pamiątka. Jakże ładnie wygląda ona, stanowiąc prawdziwą i może najrzadszą ozdobę gabinetu myśliwskiego.

Leopold Pac Pomarnacki.

Łowiecka skrzynka pocztowa

W „łowieckiej skrzynce pocztowej“ do datku łowieckiego umieszczane są odpowiedzi redakcji we wszystkich sprawach dotyczących łowiectwa, w szczególności zaś od powiedzi na zapytania P.P. Myśliwych w sprawach wykładni i praktycznego stosowania poszczególnych przepisów prawa łowieckiego oraz najważniejsze wiadomości z prawodawstwa łowieckiego. Zapytania należy kierować listownie pod adresem: Wilno, urząd wojewódzki M. Pawlikowski. Osoby nadsyłające znaczki pocztowe na odpowiedź otrzymają odpowiedź listownie niezależnie od ich umieszczenia w „skrzynce pocztowej“.

Przypominamy Szanownym P. P. Myśliwym, że w myśl dodatkowego rozporządzenia p. wojewody wileńskiego polowanie na kaczki w sezonie bieżącym rozpoczyna się w dniu 21 lipca.

W komisji dla usprawnienia administracji przy Prezydium Rady Ministrów (sekcja dekoncentracji) opracowuje się obecnie projekt t. zw. dekoncentracji w dziedzinie prawa łowieckiego. Zagadnienie polega na przełaniu uprawnień z wyższych władz państwowych na władze niższe np. przełanie prawa

Z Wileńskiego Towarzystwa Myśliwskiego

Walne zebranie Towarzystwa odbyło się w dniu 20 marca 1930 roku i w dniu 27 marca 1930 r.

Po zgajeniu posiedzenia i wyborze prezesa wodniczącego, prezes zarządu p. Stanisław Doboszyński, odczytał sprawozdanie z działalności Towarzystwa za rok 1929, charakteryzując przebieg życia T-wa i jego gospodarkę łowiecką.

W roku 1929 nadzwyczajnych walnych zebrań nie było.

Posiedzeń zarządu odbyło się 61, przy czym na posiedzeniach zarządu z głosem do radczym uczęszczali i członkowi Towarzystwa.

W roku 1929 ubyło z powodu śmierci i innych powodów 8 członków, przybyło nowych 9 członków.

Korespondencji załatwiono — 111, otrzymano — 76.

Stan gospodarki łowieckiej Towarzystwa przedstawia się jak następuje:

1) Zajęcie dla odświeżenia krwi sprawa dzono tylko do dzierżawionego przez Towarzystwo Nadleśnictwa Zatrzańskiego.

2) W trzech Nadleśnictwach kładziono tusze końskie, jako przynętę dla wilków, celem odstrzału i odprowadzenia ich od tępienia saren, które z powodu ciężkiej zimy, były przez wilki niszczone i bardzo przetrzebione. W samym tylko Nadleśnictwie Mostejskim straż leśna znalazła szczątki 18 sarn, zjedzonych przez wilki.

3) Poczyniono starania o przedłużenie czasu ochronnego na zajęce, ptactwo wodne i błotne.

4) Wytoczono kilka spraw o kłusownictwo i wnykarstwo, skutkiem czego winni ulegli karze administracyjnej i skonfiskowaniu broni.

5) Na terenach dzierżawionych przez Towarzystwo, urządzono w roku 1929 — 24 zbiorowe polowania, w których brało udział 32 członków. Zauważyć się dało w roku 1929 male zainteresowanie członków polowaniami zbiorowymi. Na obławy zgłaszało się zaledwie po 4 do 10 myśliwych.

6) Towarzystwo dzierżawi tereny myśliwskie rządowe i prywatne, a mianowicie:

terenów rządowych	16740 hekt.
„ prywatnych	7015 „
jezior rządowych i prywatnych	445 „
razem	24.200 hekt.

7. Na terenach Towarzystwa upolowano w roku 1929: dzików 1, wilków 8, kozłów 3, guszców 1, lisów 7, zajęcy 87, kaczek 343, cietrzewi 12, jarząbków 14, kszyków, dubeltów 5.

W roku 1929 na dzierżawionych przez Towarzystwo terenach zwierzęstan poprawił się, zawdzięczając walce z kłusownictwem i ograniczeniu odstrzału guszców, zajęcy i kozłów.

Straży łowieckiej Towarzystwo utrzymuje: 1 łowczego i 8 gajowych, którzy za schwytanie kłusowników otrzymują od Towarzystwa stosunkowo znaczne nagrody pieniężne.

Wybrano przez tajne głosowanie nowy zarząd Towarzystwa na miejsce ustępującego.

Wybrano przez aklamację drugiego wiceprezesa Towarzystwa.

Zmieniono statut Towarzystwa i regulamin, obowiązujący członków Towarzystwa. Nowy statut Towarzystwa polecono przedstawić władzom do zatwierdzenia.

Z Towarzystwa Łowieckiego wojew. Wileńskiego

Dnia 28 kwietnia r. b. odbyło się kolejne posiedzenie zarządu T. Ł. W.W. — Obecni byli p.p.: B. Świętorzecki, W. Łuczyński, J. Lastowski, R. Ruciński i M. Pawlikowski. Obradom przewodniczył prezes T-wa p. B. Świętorzecki. Na wstępie odczytano korespondencję T-wa z Polskim zw. stow. łow. w sprawie udziału województw północno-wschodnich w tegorocznej wystawie łowieckiej w Lipsku i uchwalono przyjąć do wiadomości tę korespondencję.

Następnie czytano memoriał wydziału wykonawczego Polskiego zw. stow. łow. do Ministerstwa Rolnictwa i Skarbu w sprawach łowieckich. Uchwalono podziękować wydziałowi za opracowanie tego memoriału, zwracając jednak uwagę na następujące momenty:

1) Memoriał jest napisany pod kątem etatyzmu łowieckiego, widząc uzdrowienie stosunków łowieckich w utworzeniu sieci etatów urzędniczych w całym Państwie, wówczas, gdy, zdaniem T. Ł. W.W., chodzi o uświadomienie całego społeczeństwa za pomocą propagandy łowieckiej prowadzonej przez pisma delegatów i Towarzystwa łowieckiego;

2) Stworzenie samodzielnego referatu (wydziału) łowieckiego w Ministerstwie Rolnictwa jest nader pożądane dla uzdrowienia polityki łowieckiej w lasach państwowych, gdzie dotychczasowa polityka wykazuje liczne braki;

3) Należy domagać się od państwa przedewszystkiem pomocy finansowej, którą Państwo może łatwo udzielić z dochodów Ministerstwa Roln. z samych kart łowieckich (przeszło pół miliona zł. dochodu na rok budżetowy 1930—31);

4) Pomoc finansowa państwowa byłaby za pośrednictwem Polskiego Zw. Stow. Łow. rozdzielana pomiędzy lokalne ideowe towarzystwa łowieckie i służyła na propagandę, nagrody za walkę z kłusownictwem i inne t.p. cele.

Uchwalono asygnować zł. 40 do dyspozycji p. starosty brasławskiego na nagrody za walkę z kłusownictwem, oraz uchwalono wypłacić po 20 zł. nagrody policjantom z posterunku w Lebedzie Pijarskiemu i Szlagiewiczowi za skuteczne tępienie nielegalnego polowania.

W końcu uchwalono zwołać walne zebranie T-wa na dzień 5 lipca 1930 o godz. 19

Z literatury myśliwskiej

Józef Władysław Kobylański: O Zwierzynicy w Katowicach. Katowice 1930. Nakładem magistratu miasta Katowic str. 42 z 28 ilustracjami.

Zaledwie w ostatnim dodatku łowieckim napisaliśmy o pięknych i pożytecznych pracach kpt. Kobylańskiego z dziedziny monografii o zwierzętach polskich, gdy oto mamy znowu sposobność podzielić się z naszymi myśliwymi wiadomością o ukazaniu się nowej pracy „zwierzynickiej“ tego dzielnego i niezmordowanego autora myśliwskiego. Bogatą i ciekawą treść monografii o zwierzynicy katowickiej podnosi ozdoba i wręcz wspaniała szata tej książki, za co należą się też słowa uznania Magistratowi m. Katowic, którego nakładem praca została wydana.

Smutne refleksje ogarniają jednak wilanina już po pobieżnym przejrzeniu tej broszury. Kiedyż wreszcie nasz historyczny Zwierzyniec radziwillowski, od którego cała dzielnica naszego miasta nosi nazwę „Zwierzynica“ doczeka się monografii?... Wszak dodatek łowiecki parokrotnie drukował apele kpt. Kobylańskiego prosiącego kompetentnych wilanów o wskazanie źródeł i dostarczenie materiałów w tej sprawie.... Apele te jednak pozostały bez echa... Albo inna refleksja: — kiedyż wreszcie 200-tysięczne, uniwersyteckie i „naukowe“ miasto Wilno doczeka się własnego, choćby najskromniejszego „zoologu“? Z prac kpt. Kobylańskiego wiemy, że ogrody zoologiczne w Polsce mają nietylko Warszawa, Poznań lub Katowice, lecz nawet Grodno, Częstochowa i Leszno! Czyżby Wilno nie odczuwało potrzeby utworzenia podobnej instytucji?... Kiedyż nastanie dzień, gdy na zamówienie Magistratu m. WI na kpt. Kobylański napisze piękną broszurę o wileńskim ogrodzie zoologicznym?

„Materiały monograficzne województwa Warszawskiego“ — czasopismo poświęcone sprawom regionalnej polityki gospodarczej związków samorządowych — poświęcił w zeszycie grudniowym 1929 r. trzy artykuły sprawom łowieckim. Pierwszy dotyczy łowiectwa w pow. łowieckim i treść jego, acz b. ciekawa, jeżeli o tamtejsze stosunki łowieckie chodzi, nie przedstawia jednak większego interesu dla myśliwych wschodnich. Natomiast dwa następne mają znaczenie ogólniejsze.

M. hr. Potocki w swych „Uwagach nad sprawami łowiectwa“ rzuca dużo cennych i ciekawych myśli, jak zawsze zresztą u tego autora, znanego dobrze myśliwym polskim z łamów „Łowca Pol.“ — Szkoda jednak, że autor, podobnie zresztą jak i czynniki wykonawcze w naszym Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich, upatruje w daleko postępiem etatyzmie uniwersalne lekarstwo na bolączki łowieckie. Autor zdaje się sądzić, że nie trzeba zmieniać naszego społeczeństwa (zwłaszcza łowieckiego), jeżeli chodzi o stosunek tego społeczeństwa do łowiectwa, lecz wystarczy stworzyć sieć urzędniczych stanowisk łowieckich z wydziałem łowiectwa w Ministerstwie Rolnictwa na czele, by Polska stała się rajem dla zwierzyny. Jesteśmy tegoż innego zdania i do kwestii tej p. wrócimy niejednokrotnie.

S. Kamocki w „Przyczynku do organizacji przemysłu łowieckiego“ podaje szereg interesujących cyfr i zestawień z tej dziedziny tylko — dowolne i ani językowo ani ni, tak bardzo u nas zaniedbanej. Dziwi nas tradycyjnie nieusprawiedliwione różniczkowanie wyrazów „myśliwstwo“ i „łowiectwo“. Jakkolwiek śledzimy pilnie nową literaturę myśliwską i studujemy dawną, to jednak dotąd sądziliśmy, że wyrazy te są synonimami.

M. P.

Do P. P. Czytelników dodatku łowieckiego.

P. P. Czytelnicy, którzy są przypadkowo w posiadaniu zbędnych numerów dodatku łowieckiego, zwłaszcza z lat 1926 i 1927, proszeni są uprzejmie o odstąpienie tych numerów (ewentualnie za opłatą, jaką sami wskażą) redakcji dodatku łowieckiego. Łaskawe oferty prosimy składać pod adresem: Wilno, urząd Wojewódzki, M. Pawlikowski.

WIG